

„O marcu, pannie Juliannie i ptaszku”

czyli psoty marcwej pogody

Lucyna Krzemieniecka

Zbudził raz marzec pannę Juliannę.

- Spójrz, jak słoneczko błyszczy poranne! Idźże czym prędzej na spacer miły, już wszystkie panny to uczyniły.

Pyta Julianna tuż przed okienkiem.

- A jaką marcu, wziąć mam sukienkę?

- Weź tę leciutką, tę w kwiatki zwiewną, pogoda ładna będzie na pewno. I kapelusik ten z różyczkami. I pantofelki – te z dziureczkami.

Biegnie Julisia wesółą taką, zdejmując lekką suknię z wieszaka.

Bierze kapelusz pełen różyczek. Frr... już wybiegła. Mknie przez uliczkę i myśli sobie:

„Pójdę w aleje, już się tam wiosna na drzewach śmieje”.

Lecz psotnik marzec pannę dogania, chmurami szybko niebo zasłania, zerwał się wiatr i deszcz chlusnął z cebra. Biją biczyki śliczne ze srebra. Panna Julianna narobi krzyku:

- Ej psotny marcu, psotny deszczyku! Mój kapelusik, on nie na deszczu!

I frr... pobiegła przebrać się jeszcze. Wzięła parasol, czapkę na słoty.

- Na nic mi teraz marcowe psoty!

Lecz marzec psotnik pannę dogania. Szepnął coś słońku, bo się wyłania. I tak przygrzewa, i tak przypieka. Z panny pot spływa, panna narzeka:

- Ej, nie na słońce grube ubiory.

Ależ ten marzec do psoty skory! Miesza jak w garncu słońce i deszcze. Pójdę się chyba przebrać raz jeszcze.

Znów się przebrała, biegnie z podwórka. Ujrzał ją ptaszek, ten w szarych piórkach, i ćwierknął głośno:

Dziwię się pannie, że piórka zmienia tak nieustannie. Ja, kiedy deszczyk mam na ogonku, wysycham sobie w marcowym słońku.